

13 grudnia 2012

Męczennicy Marszu do Niepodległości

W 1992 roku otrzymałem poniższy tekst od naszego rodaka, Seweryna Skrabana, mieszkańca miasteczka Silver Spring w stanie Maryland, USA. Urodzony w 1933 roku, opisuje on okrutne traktowanie Polaków przez Polaków w latach stalinowskiego terroru po wojnie, pod nadzorem żydowskiego UB. Mój pierwszy pamięciowy obraz z dzieciństwa, to twarz ojca za kratami w okienku drzwi jego celi w warszawskim więzieniu. Dostał wyrok 2 lata za „szerzenie nienawiści”, bo powiedział, że Stalin to drań i trzeba go wymusić jak knura. Publikuję ten list dla przypomnienia, że więzieni, torturowani i mordowani Polacy, chcieli niepodległości. Dziś potomkowie tych oprawców stosują inne metody. Jak to powiedział kanadyjski guru teorii mass mediów Marshall McLuhan: „dzisiejszy tyran nie rządzi pałką czy pięścią, ale przebrany za badacza rynku prowadzi swoje stado drogami wygody i komfortu”. Musimy pamiętać jak nas traktowali dziadowie i rodzice dzisiejszych tyranów, bo ich wroga nam mentalność jest niezmiennie ta sama. Jeszcze dziś czerwony baron Leszek Miller głosi, że Żołnierze Wyklęci, którzy stawiali zbrojny opór tym oprawcom, to byli faszyci, a mieszkańcy Jedwabnego, gdyby mogli, to by go spalili żywcem nawet dzisiaj. Z pomocą drapieżnych zagranicznych sojuszników dzisiejsi tyrani stosują współcześnie podstępne, niemoralne metody, które prowadzą nas Polaków do zniewolenia biedą i upodlenia. Ich celem jest całkowita zagłada nas Polaków jako narodu. Marsz do Niepodległości trwa od 1-go września 1939 roku. I będzie trwał dalej, jeśli Polacy nie zmobilizują się do walki, aby Polska, nasza Ojczyzna, była matką a nie okrutną macochą. Dlatego publikuję ten historyczny tekst w dniu 13 grudnia 2012 roku, czyli w rocznicę stanu wojennego.

Stanisław Tyminski

www.rzeczpospolita.com

Polak Polakowi...

Po przeczytaniu w HORYZONTACH art. Pt. „POLAK POLAKOWI, RELACJA KAPELANA WIĘZIENIA UB”, jako były więzień tegoż więzienia przy ul. Klęckowskiej we Wrocławiu, postanowiłem napisać niniejszy list.

Dn. 23 czerwca 1950 r. nocą aresztowano mnie w internacie P.S.P.D w Cieplicach. Następnie znalazłem się w lochach P.U.B.P. przy Armii Czerwonej w Jeleniej Górze. W tym czasie, kiedy mnie aresztowano, nie miałem jeszcze ukończonych 17 lat życia. Zarzucono mi przynależność do nielegalnej organizacji, która miała na celu obalenie przemocą ustroju „Polski Ludowej”. Tego, co tam się działo, jak traktowano mnie i wszystkich tam znajdujących się więźniów, nie da się w krótkim streszczeniu opisać.

Zaraz po przewiezieniu mnie na PUBP zamknięto mnie w „klatce”; była to „cela”, która nie miała okna. Jak skrzyżowałem ręce (dłonie na piersiach, dotykając palcem środkowym jednej ręki palca środkowego drugiej ręki), to łokciami dotykałem ścian „celi”, wyciągniętą do góry ręką dotykałem sufitu, a jak leżałem na betonie, to nogi miałem przy drzwiach, a głowa dotykałem ściany, na której była umocowana skrzynka, z której to wydobywał się ciągle odgłos miarowych, równych w odstępach czasu „tików” jak w zegarze (musiał to być jakiś licznik).

Na „przesłuchania” brali mnie tylko nocą. Jak odbywały się takie „przesłuchania”? Np. pijany „oficer śledczy” kazał mi wchodzić na żyrandol – tak, na żyrandol – a gdy nie chciałem wykonać polecenia, bito mnie; albo kazano rozebrać się do naga, a kiedy odmówiłem – zdarli ze mnie ubranie i założyli kaftan bezpieczeństwa. Pamiętam ten zielony brezentowy „ubiór” zapinany na plecach, z rękawami zakończonymi pasami, które przy ściąganiu krępowały boleśnie ręce. Po obnażonej części ciała leli silnym strumieniem zimnej wody pod ciśnieniem.

Jak długo siedziałem w tej „celi-klatce”, ile dni, ile tygodni? Nie wiem, straciłem rachubę czasu. Wtedy nigdy nie widziałem światła dziennego. Następnie przeniesiono mnie do dużej celi – ale na 13 tam znajdujących się osób była to jednak mała cela. Dwa małe okna na górze i pomalowane na czarno szyby, by nie dostawało się do wewnątrz światło dzienne. Z prawej strony, wzdłuż ściany, przez całą szerokość celi, miejsce do spania – prycza. Zbita z desek razem z zagłówkiem, „poduszką”. W celi do załatwiania potrzeb fizjologicznych stało wiadro bez pałaka, które przykrywało się szmatą, ale zazwyczaj szmata nie była potrzebna, bo zawartość” wiadra przelewała się przez wierzch i trzeba było po tym brodzić.

Przez cały dzień trzeba było stać na nogach, nie wolno się oprzeć nawet o ścianę. Starszym więźniom puchły nogi.

Ubegy ciągle przez „judasze”-wizjery w drzwiach nadzorują cele. Kto tylko oprze się o ścianę, a broń Panie Boże, usiądzie na pryczę, jest zapisywany na listę i przy wieczornym apelu wszyscy zapisani muszą wychodzić z celi. Wieczorem na apel schodzą z góry panowie lub jak kto woli panowie „oficerowie”. Jest to liczna zgraja oprawców, łaknąca ludzkich cierpień. Więźniowie muszą kolejno wychodzić z celi na korytarz i przy akompaniamencie pijackiego rechotania, bo tego nie można nazwać ludzkim śmiechem, przy najohydniejszych przekleństwach, odbywają się okrutne, wymyślne tortury. Rechotliwy śmiech i przekleństwa pijanych zbirów, jęki i wzywanie Matki Boskiej, wołanie o pomoc Boga, wszystko miesza się razem. Czasem jeszcze do tego dochodził huk strzałów i jęk zamierał. Z cel wyciągano na tortury pojedynczo. Najczęściej wrzucano więźnia z powrotem do celi w stanie bezwładnym.

Taki „apel” wieczorny przedłużał się nieraz aż do samego rana. Nie było żadnej zmiany bielizny osobistej (pościelowa nie istniała). Więźniowie miesiącami, nieraz po kilkanaście i kilkadziesiąt miesięcy, siedzieli w tym, w czym ich aresztowano. Nie miał też nikt grzebienia, bo

było to zabronione. Nie pamiętam, w jakim odstępie czasu była robiona tzw. dezynfekcja. Wpuszczano wówczas do celi więźnia z wiadrem lizolu i pędzlem; kiedy więzień obficie posmarował lizolem pryczę wraz z drewnianą „poduszką”, zabierano go od następnej celi. Nad ranem, kiedy jeszcze było ciemno, przed świtem, wolno było na krótką chwilę uchylić na czarno zamalowane okna i wtedy wszyscy chcieli zaczerpnąć płucami łyk świeżego powietrza.

O otwieraniu okna w dzień nie można było nawet pomyśleć, a to dlatego, że wpadające do celi dzienne światło wyraźnie wskazywało, że przez uchylone czarne okienko do celi dostaje się świeże, zbawienne powietrze. Pamiętam nazwiska niektórych współtowarzyszy niewoli:

Paweł POLSKI, kpt. Marynarki przed wojną; RÓŻAŃSKI, bliższych danych nie pamiętam; Stanisław LASEK, pochodził gdzieś spod Przemyśla. Antoni KARULAK, Manswed PRZYBYLIŃSKI. Kazimierz KONDZIELA wraz z żoną, zamknięci za sprawy religijne, pochodzili z Kosowa Ładzkiego, Ks. Jan DYBIEC, proboszcz paraf. Cieplice.

MINKIEWICZ pochodził z Wileńszczyzny. Stanisław MARMOL i jego siostra, której imienia nie pamiętam, byli z Podgorzyna k. Jeleniej Góry. Dzeфар RADKIEWICZ, ur. w Turcji, uczeń ogólniaka z J. Góry. Alfred FEDZIN, ucz. z J. Góry.

Andrzej KOWALIK, KOWALCZYK lub KOWALCZUK, ucz. ogólni. z J. Góry, pochodził z Krakowa.

Jerzy WITKOWSKI, ucz. ogólni. z J. Góry, pochodził z Wileńszczyzny. GERHARD, ucz. ogólni., Lucjan ZMARZLAK, ucz.; Henryk PUC, ucz. wiek 15 lat. Julian JASIŃSKI, ucz. AUGUSTYNIAK, ucz. Stanisław KLUSKA, LATKA, Józef WIERZBICKI, który „sypał”, robił wszystko, aby innych obciążyć.

WIŚNIEWSKI, na imię miał chyba Czesław, podły, podobnie ja Wierzbicki „sypał”, aby tylko bronić swojej skóry (obydwaj jednak zostali skazani – Wierzbicki na 8 lat, Wiśniewski na 13 lat więzienia). Jak się później dowiedziałem, tenże Wierzbicki został przyjęty do wojska, gdzie dosłużył się nawet stopnia podoficerskiego, ale ilu ludzi musiał sprzedać za ten stopień? Siedział też Ryszard BARAN, ucz., Stanisław KADULSKI, staruszek, por. jeszcze austriackiej armii, był właścicielem restauracji w Kowarach, pochodził z Krakowa Podwale. Czesław GANCARCZYK. Oto są nazwiska tych osób, które m. in. przeszły przez PUBP, a które to nazwiska pamiętam. Pamiętam też parę nazwisk oprawców: KOBYLAŃSKI, „oficer śledczy”. Nosił mundur WP. HIR, też nosił mundur, często stawał przy kracie z automatem. CICHOCKI, chodził po cywilnemu, najczęściej w lochach. CHOJNACKI, po cywilnemu nosił znaczek ZMP w klapie marynarki, jak mi się wydaje, pobierał naukę, wgłębiał się w tajniki i arkana sztuki rzemiosła bandyckiego. Nazwisk ubeków trudno się było dowiedzieć. Po półrocznym pobycie w PUBP, gdzie byłem bity i torturowany tak jak i inni więźniowie, przeprowadzono nas do więzienia przy ul. Grotgера.

Był to pokaz siły UB. Pędzono nas brudnych, wynędzniałych, obdartych i głodnych pod

silną eskortą uzbrojonych po zęby bandytów z UB.

Temu całemu widowisku, temu koszmarnemu pochodowi, przypatrywali się mieszkańcy miasta, ale w ich oczach nie widziałem nienawiści. I tak zapędzono nas do więzienia. W tym czasie – jak dobrze pamiętam – naczelnikiem więzienia był RAMUS. Więzienie w porównaniu do PUBP miało się tak jak niebo do piekła. Tu ostrzyżono nas na „glacę”, po łaźni „przemundurowano” w więzienne ubrania: ja dostałem niebieską bluzę z żółto-pomarańczową opaską na rękawie.

Wszystkim młodocianym dawano łyżkę tranu dziennie, bo byli wycieńczeni. W kilka dni później pędzono nas ośmiu na salę sądową. Dobrze pamiętam „przewodniczącego sądu wojskowego”, był to porucznik średniego wzrostu, miał czarne, falowane włosy i haczykowaty nos, nazywał się Franciszek KAPARCZUK. „Sędziowie ławnicy” też byli w mundurach. Byli to „podoficerowie” MO, jeden w stopniu sierżanta, nazywał się DAROL Roman, a drugi kapral nazywał się BANASZKIEWICZ Ignacy. Po odczytaniu mi aktu oskarżenia powiedziałem: Nie jestem winny, nie dopuściłem się żadnej zbrodni przeciwko mojej ojczyźnie. Nie jestem wrogiem narodu polskiego i dlatego proszę o sprawiedliwy wyrok, a takim wyrokiem może być tylko uniewinnienie.

Pamiętam, że z mojej wypowiedzi nie był nawet zadowolony mój obrońca z urzędu, adwokat Norbert GARWICZ, a „sędziów” moja wypowiedź wręcz oburzyła. Dobrze wiedzieli, że wątpię w ich ludową sprawiedliwość. „Sędziowie” ci na pewno jeszcze żyją i pamiętają, jak powiedziałem im w oczy: Proszę rozstrzelać mnie na miejscu, bo 11 lat więzienia równa się karze śmierci, w powolnym konaniu, w męczarniach. Wiem, że tą wypowiedzią zraniłem najbardziej moją bolejącą matkę, która była na sali rozpraw sądowych.

„Sądzono” nas 3 dni, choć wyrok był ustalony już od dawna. Myślę o tym dniu, kiedy zostałem wezwany na UB. Pamiętam tego ponurego typu w stopniu kapitana w zielonym mundurze, czapkę garnizonową z czerwoną otoką, którą miał na głowie, jak również i jego płaszcz. Widocznie ob. Prokurator spieszył się na wódkę, bo był już wieczór. Czerwona, ponura gęba, z której nie padło ani jedno słowo... Musiał być już dobrym „fachmanem” – wszystkich oceniał na oko.

Przez 3 dni rozprawy nie pozwolili mojej MATCE zbliżyć się do mnie. Tego się nie da zapomnieć. Pamiętam wszystko: więzienie przy Grottgera w Jeleniej Górze, więzienie UB przy Kleczkowskiej we Wrocławiu, Jaworzno i druty kolczaste pod napięciem, i bicie, i głód.

Pamiętam moich braci skazanych na śmierć i długoletnie wyroki. Słyszę krzyk skazanych i prowadzonych na śmierć, ostatni krzyk, ostatnie wołanie w ich życiu: Niech żyje Polska! Żegnajcie, bracia, pomścijcie naszą śmierć! ŻEGNAJ MAMO, GINĘ ZA OJCZYZNĘ!

Tak, to był ICH krzyk, ostatnie pożegnalne wołanie, bo musieli umrzeć, a umierać nie było łatwo, kiedy się miało kilkanaście, dwadzieścia lub ileś tam więcej lat i szło się na śmierć bez najmniejszej winy. Umierali tylko za to, że nigdy nie zdradzili Polski. Umierali dumnie i z honorem, bo kochali swoją Ojczyznę ponad wszystko. U niektórych z nich była to pierwsza i ostatnia miłość.

Dziś o NICH się mało albo wcale nie wspomina. Nikt nie wie, gdzie są rozsiane ICH groby, ilu ICH spoczywa na wrocławskich „Osobowicach” i w wielu innych miejscach tej ojczystej, ukochanej ponad wszystko ziemi, za którą złożyli największą ofiarę – swoje życie.

Tylko MATKI POLKI nigdy nie zapomną swoich dzieci, z którymi nie mogły się nawet widzieć i pożegnać, bo IM nie wolno było pożegnać się z rodzicami i najbliższymi.

Świadcami oskarżenia przeciw nam byli: LATUS Wiesław, ur. w kieleckim i BACHRYIJ Jan, ur. na kresach wschodnich. Obydwaj mieli po kilkanaście lat życia, byli w naszym wieku. Ww. świadkowie byli chyba poinstruowani, jak mają zeznawać i co mają zeznawać, więc biedacy płakali i zeznawali przed „wysokim sądem wojskowym”: Że słuchaliśmy radia WOLNA EUROPA i GŁOSU AMERYKI, że nazywaliśmy Stalina katem narodów (swoje zeznania niejednokrotnie przerywali łkaniem i płacząc dalej zeznawali), że mówiliśmy o wymordowaniu polskich oficerów w Katyniu, że Bieruta nazywaliśmy zdrajcą ojczyzny i renegatem polskiej sprawy narodowej, a cały ten rząd ludowy to zgraja komunistycznych oprychów na usługach Kremla.

Zeznawali też, że czekaliśmy, kiedy rozpocznie się wojna między ZSRR i USA, by jako Polskie Tajne Siły Zbrojne wystąpić zbrojnie przeciw blokowi komunistycznemu, działając jako partyzanci, że głównie w tym celu gromadziliśmy broń palną. Był też świadkiem FRONCZAK, którego imienia nie pamiętam i którego do chwili rozprawy nie znałem. FORNCZAK był najprawdopodobniej głównym zdrajcą nas wszystkich. Wiem, że kanalia mieszkał w Wojcieszycach. Zeznawał podobnie jak BACHRYIJ i LATUS, ale ten nie płakał. Ww. zeznawał raczej z pychą i widać było, że jest agentem UB i czeka go za to nagroda. W znacznym stopniu obciążył on Lucjana Zmarzlaka, który wraz z rodzicami i rodzeństwem był wywieziony na Sybir i tam z głodu i wycieńczenia zmarła jego matka i ktoś z rodzeństwa. Jego „winą” było to, że nie zachował tego w tajemnicy i „szkalował” tym „raj komunistyczny”. Zdradził „tajemnicę”, że mordują nie tylko Polaków, ale i inne ujarzmione narody. Lucjana skazano na dożywotnie więzienie, a miał lat 18 życia, ale 18 lat życia dla „władzy ludowej” też było przestępstwem.

Cała siódemka na „rozprawie sądowej” zachowywała się godnie, jak przystało na prawdziwych synów Polski, z wyjątkiem ósmego J. Wierzbickiego, który się załamał całkowicie, jęczał, płakał, wszystkich obciążał, nawet zmyślonymi przez siebie „faktami”.

Ww. trzech świadkowie oskarżenia zaczęli z tzw. wolnej stopy, LATUS i BACHRYIJ zeznawali za cenę wolności.

Doprowadzono na rozprawę w charakterze świadka zakutego w kajdany, skazanego już na 13 lat więzienia WIŚNIEWSKIEGO, jak również zakutego w kajdany M. PRZYBYLIŃSKIEGO, który był skazany na karę śmierci. Na sali sądowej był matka PRZYBYLIŃSKIEGO, która strasznie rozpacziała.

Pamiętam, MANSFED PRZYBYLIŃSKI odezwał się do swojej matki w te słowa: „MAMUSIU, NIE ROZPACZAJ, JA NIE CHCĘ ŻYĆ W TAKIEJ POLSCE”. WIŚNIEWSKI „sypał”, a że ręce miał zakute z tyłu, to podchodził do ławy oskarżonych i wskazywał głową, z kim się spotykał na wolności w sprawach konspiracyjnych, bo nazwisk nie znał.

M.in. i ja zostałem wskazany przez niego głową, swoimi zeznaniami obciążał, kogo mógł i czy tylko mógł. Jak mocno przerażający był jego wygląd: chudy, wysoki, jak gdyby szkielet odziany w luźne, więzienne łachmany, ogolona, wyschnięta czaszka, pod czołem zapadnięte oczodoły, uwydatniony nos na mizernej, bladej twarzy, na potylicy czaszki dwa wgłębienia, którą łączyła z tułowiem również chuda, cienka i wydaje się nieproporcjonalnie długa szyja, której skórę chce przebić wystający „pijak”. Istny symbol śmierci: wszyscy musieliśmy być podobni mniej lub więcej z zewnętrznej strony do niego. Jak musiały cierpieć matki, kiedy widziały taki nasz obraz...

W pierwszych dniach pobytu w więzieniu w J. Górze siedziałem w celi z Bąkowskim, chyba na imię miał Henryk. Więzień ten miał „fallowane”, złote włosy, ale też miał złote serce. Siedział też z nami „dziadek” Kadulski, o którym już wspominałem uprzednio. Bąkowski pracował w magazynie więziennym. Opowiadał nam, że w tymże pobory też miał dobre, bo dorabiał sobie, a to w ten sposób, że wykonywał karę śmierci, a za zabijanie „wrogów” Polska Ludowa szczególnie dobrze płaciła i wynagradzała orderami za utrwalanie „władzy ludowej”. Kiedy wyprowadzano więźniów pospolitych z małymi wyrokami, zdarzało się czasem, że ktoś uciekł, bo wtedy różnie bywało. Zamykali z małym wyrokiem, z później coś znaleźli z „wrogię roboty” przeciwko władzy ludowej np. z czasów okupacji niemieckiej.

Więc jak ktoś uciekł, wtedy łapano kogoś z Niemców autochtonów w podobnym wieku do uciekiniera na ulicy i przyprowadzano złapanego do naczelnika Lipskiego, a ten go „uczył”, jak się nazywa, kiedy i gdzie jest urodzony i za co siedzi. „Edukował” go dotąd, aż Niemiec wymawiał wszystkie dane personalne uciekiniera poprawnie po polsku. Wprawdzie nacz. Lipski miał sam kłopoty z pisaniem i czytaniem, ale miał wrodzoną smykałkę pedagogiczną i talent do nauczania innych, a zwłaszcza „reakcjonistów”. Choć zdarzało się często, że od tego pedagogicznego wysiłku i lingwistycznego zapału puchły mu ręce. Taki człowiek po „edukacji” odsiadywał resztę kary za zbiegłego, a naczelnikowi zgadzał się stan skazanych i w razie kontroli wszystko „grało”.

Trzeba zaznaczyć, że gdy wpadały takie kontrole, wtedy padało zazwyczaj pytanie: „Jak

się nazywasz, skur...synu, i za co siedzisz, bandyto?”.

Kontrolującymi byli zazwyczaj „oficerowie” WP w mundurach. W tym czasie w więzieniach panował głód, wstrzymywano jakiekolwiek paczki z zewnątrz. Moja matka do samej rozprawy „sądowej” nie wiedziała, gdzie ja się znajduję. Kiedy wakacje trwały, a ja nie wracałem do domu, Matka zwróciła się z pismem w tej sprawie do dyrekcji szkoły.

Oto poniżej podaję treść pisma, którym dyrekcja szkoły powiadamia ją o moim aresztowaniu:

„Do Ob. Skraban Marii

W odpowiedzi na pismo Obywatelki z dnia 28.7.1950 r. w sprawie syna Seweryna, który przebywał w tutejszej szkole, dyrekcja donosi, że syn Obywatelki Seweryn został dnia 23.6.1950 r. przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa zatrzymany.

Przyczyny zatrzymania oraz obecny jego pobyt dyrekcji szkoły są nieznane.

DYREKTOR

Strąckiewicz Jan”

Zima 1951 r.; już minęły pierwsze święta Bożego Narodzenia, pierwsze najsmutniejsze przyjście na świat Dzieciątka Jezus; w straszliwej niewoli nastał Nowy Rok. Kazano zdać wszystkie rzeczy należące do więzienia: aluminiową miskę, łyżkę, wytarty, cuchnący koc, drewniaki i więzienne ubranie. Zapędzono nas do największej celi, niby coś jak świetlica.

Tam naczelnik powiedział nam, że wysła nas do szkoły. Mówił, że choć jesteśmy wrogami Polski Ludowej i nawet mimo tego, że podnieśliśmy rękę na „władzę ludową”, ta władza daje nam warunki, byśmy mogli żyć, pracować i uczyć się, byśmy mogli naprawić to zło, które wyrządziliśmy, bo trwa wzmożona walka przeciw ludowemu państwu, ulegając wrogiej propagandzie rozgłośni radiowych, które są na usługach imperializmu amerykańskiego. Byśmy już nigdy nie słuchali komunistycznych agentów. Nadmienił też, że tu jest straszne przepełnienie, bo trwa wzmożona walka klasowa i wszystkich wrogów trzeba zamknąć i unicestwić.

Faktycznie w więzieniach było przepełnienie, codziennie przywozili nowych ludzi. W UB już się nie mieścili. Aresztowano i przywożono do więzienia. Któregoś dnia z więzienia uciekli Wrzos i Lewandowski, który wypitowali kratę i nocą na porwanych kocach „zjechali” z piętra na więzieniu też wykonywano karę śmierci, a robili to w najniższym parterze więzienia. Naczelnik więzienia i Bąkowski byli kiedyś kolegami, służyli w jednej jednostce wojskowej, dlatego

Bąkowski miał chody w więzieniu. Nie pamiętam, za co był skazany. Mówił nam też, że po zamordowaniu więźnia wpisuje się w księgi więzienne słowo „wybuł”.

Opowiadał nam też, że jak poprzednim naczelnikiem więzienia był LIPSKI, który w tym który w tym czasie też „pracował” w tymże więzieniu, ale już nie na stanowisku naczelnika, ale

dół; tam rozbroili strażnika i wydostali się przez mur więzienny na zewnątrz więzienia. Było ich trzech. Właściwie do ucieczki szykowali się w czterech, ale w przeddzień ucieczki Długosza (bo tak się nazywał czwarty więzień) przerzucili do innej celi. Tak więc uciekali we trójkę, ale Cheliński nie „przeszedł” muru. Już wyły więzienne syreny, a Wrzos jeszcze siedział z automatem na murze i strzelał, ubezpieczając Chelińskiego, aby przeszedł mur. Jednak na daremno nawoływał go do ucieczki. Cheliński nie przeszedł muru i był potem w bestialski sposób katowany, ale przeżył. Wdziałem go później we Wrocławiu, jeszcze był siny od bicia. Był też uszkodzony Długosz, były żołnierz armii Andersa, bo to on „przyszwarcował” angielski „włos”, którym przecięli kratę. Nie wiem, co się stało z Wrzosem i Lewandowskim, prawdziwymi bohaterami. WRZOS był skazany na 15 lat więzienia, a LEWANDOWSKI na 8 lat. WRZOS pochodził z kieleckiego, należał do NZS; skąd był LEWANDOWSKI – nie wiem. Właśnie zaczęto masowo przywozić ludzi do więzienia. Cele były napchane jak beczki śledziami. Spaliśmy na betonie pokrytym linoleum. Na koniec ostrzegł nas naczelnik, by nikt nie ważył się uciekać, bo zostanie zabity bez ostrzeżenia.

Po tej wzniosłej pożegnalnej przemowie naczelnika zabrano część więźniów i mnie razem z nimi. Wyprowadzono nas na dziedziniec więzienia, gdzie stał amerykański „Studebaker”. Tam kazano nam wchodzić na wóz, siadać na podłogę i przykuto nas kajdankami jeden do drugiego (kajdanki kanadyjskie) łańcuszkowo. Kiedy już zasiedliśmy „podłogę” wozu, weszli strażnicy, ubrani w kozuchy, z automatami gotowymi do strzału w łapach i usadowili się wyżej nad nami przy burtach samochodu, celując lufy automatów w nasze nagie, ogolone głowy. Jeszcze raz pada ostrzeżenia, że w razie najmniejszego podejrzanego ruchu będą strzelać bez ostrzeżenia.

Pada też ironiczna kpina, że mamy okazję przejechać się amerykańskim samochodem, może ostatni raz w życiu. Jest zimno, wóz jest odkryty, nie jesteśmy ubrani. Niektórzy są tylko w koszulkach, ja też tylko w koszuli, która w dodatku jest porwana. „Studebaker” powoli rusza z miejsca i parszając nabiera szybkości. Tak jedziemy w nowe życie, które przygotowała nam nasz ojczyzna „Polska Ludowa”. Siedząc jeden przy drugim ogrzewamy się własnymi ciałami. Nie wiem, jak długo trwała ta podróż, ale wydawała się bardzo długa. W tyle towarzyszył nam wojskowy kryty „łazik”, na pewno ochrona KBW. W końcu wóz przejechał więzienne bramy przy ul. Klęzkowskiej we Wrocławiu. Nie wiedzieliśmy, że to Wrocław, że Klęzkowska. Tu już na nas czekali oprawcy, padła komenda: Złazić, sku...syny, bandziory. Rozluźniano kajdany na rękach i schodziliśmy na bruk więzienny. Nogi odmawiają posłuszeństwa, trudno się na nich utrzymać,

tak zdrętwiały. Jeden więzień miał torsje, był chory, bo nie mógł znieść „zapachu” naftaliny zmieszanego z zapachem lizolu i odorem brudnych ubrań, które nie były prane ani też zmieniane przez kilka, a niektóre kilkadziesiąt miesięcy.

Komendant konwoju zameldował, że jeden bandzior jest pijany i rzygał przez całą drogę, choć nie miał czym. Wszyscy oprawcy zarechotali złowrogim, niezdrowym śmiechem. Rozkuty, którzy zeszli z wozu, ustawiono pod murem więzienia, twarzą do ściany (nosem trzeba było prawie dotykać ściany, ale tak żeby ściany nie brudzić, ręce trzeba było mieć złożone tyle). Kiedy już wszyscy byli rozkuci i zeszli z wozu, jeden ze strażników powiedział: „Dość, amerykańscy burżuje, wozić dupy na amerykańskich autach, tu się zaczyna Polska ludowa” – i znów rozległ się złowieszczy rechot bandy.

Następnie wpędzono nas do jakiegoś mrocznego, obszernego pomieszczenia, w którym było dużo rur; sądzę, że musiało to być powiązane z kotłownią. Tu zjawił się niewysoki, dobrze zbudowany, krępy „oficer” w zielonym, dobrze dopasowanym mundurze WP; otokę na czapce miał koloru granatowego, spod której widać było jasne włosy. W pomieszczeniu tym już stali inni więźniowie, których przywieziono przed nami, chyba z Kłodzka. Ustawiono nas „ciasno” piątkami, tak zawsze ustawiali więźniów, bo strażnikom łatwiej jest liczyć. Ze strony tegoż „oficera” padło pytanie: „Z jakiego to stanu przyjechaliście, kowboj?”. Pytanie skierowane było do nas wszystkich, ale nikt nie odpowiedział, panowała grobowa cisza. I wtedy „twarz oficera” nagle stała się purpurowa. Podchodząc do pierwszego z jego strony więźnia, ryknął: „Co, nie chcesz rozmawiać z oficerem? Skąd przyjechałeś, bandyto?”. Więzień odpowiedział: Z Jeleniej Góry. Na to oficer: „Tu nie ochronka, tu nie Jelenia Góra, tu Klęczkowska” – i silnym ciosem pięści uderzył więźnia w brzuch, a kiedy przygiął z bólu do przodu, „oficer” kopnął go w twarz i był to sygnał dla reszty zbirów, których była cała wataha. Rzucili się na nas jak stado wilków, tylko nie szarpali nas kłami, ale bili, kopali, gdzie popadło i kogo popadło. Pod razami kopniaków i uderzeń wpędzono nas stłoczonych na korytarz, kraty już były otwarte, a w korytarzu po obu stronach stali bandyci i srogo dokładali tym, który dostali najmniej, a to dlatego, że byli w przodzie.

Polska Ludowa jest „sprawiedliwa” dla wszystkich, i dla swoich wrogów też, i wszyscy muszą dostać równo.

Pod razami uderzeń i przy gromkim wrzasku strażników „w lewo, w prawo, w górę” zapędzono nas do magazynu. Tam każdemu w biegu rzucono więzienne ubranie, drewniaki, aluminiową miskę, coś, co nazywało się kocem, i „poduszkę”, w poszewce garść trocin ze słomy. Trzeba się było szybko przebrać i swoje ubranie włożyć do worka i zdać. Do worka przyczepiano kartkę. Rozwścieczony „oficer” darł się, że jest tylko dwóch takich we wszechświecie, że jeden jest w niebie, a on sprawuje funkcję „boga” tu na tym ziemskim padole leż i rozpaczy, a to wszystko przez takich bandytów jak my, więc jemu przypadła „boska” rola wykończenia takich

bandziorów jak my. Dla mnie, jak i również dla nas wszystkich, ta jego „boska mowa” nie była nowością, słyszałem ją już w gabinetach PUBP w Jeleniej Górze i to nie jeden raz. Ta mowa brzmiała od powstania „władzy ludowej”, ba, jeszcze wcześniej, bo od zarania powstania „najdoskonalszego” ustroju świata, który budował i któremu też przewodził nasz „sławny” rodak Feluś Dzierżyński.

Następnie ustawiono nas twarzą do ściany, tylko że w ich języku brzmiało to inaczej: ch... do ściany. Tak samo się stało w tym czasie wszędzie i w „urzędach bezpieczeństwa” i we wszystkich więzieniach. To był pierwszy dzień, to był chrzest na Klęzkowskiej, a ojcem „chrzestnym” był nie byle kto, bo sam „bóg” ziemski. „Oficer” ten był wielkim „bogiem” wśród licznej rzeszy oprawców i powinien przejść do ciemnej księgi historii ówczesnych czasów, stalinowskich planów, niszczenia patriotycznych sił w ujarzmionych narodach. Wówczas w Polsce był wprowadzany w życie „plan 6-letni” i planowo budowano „socjalistyczny ustrój” niszcząc na swej „światlanej drodze do rajy komunistycznego” wszystko, co polskie. Zresztą jak mogła nas inaczej traktować służba więzienna, kiedy przewodniczący sądu, który chyba musiał ukończyć jakieś studia prawnicze, choćby na jakiś tam kursach, przez cały czas trwania „przewodu sądowego” nazywał nas zbrodniarzami, podkreślając wielokrotnie naszą przynależność do „zbrodniczego związku”, którego celem było: „obalenie przemocą ustanowionych organów władzy zwierzchniej Narodu i obalenie przemocą ustroju Państwa” (Jest to fragment wypisany z uzasadniania wyroku). A więc władza zwierzchnia była czymś innym niż Państwo Polskie. Jak to również samo z siebie wynika, że kto należy do „związku zbrodniczego musi być zbrodniarzem”. Tak więc wszystko się działo na odwrót.

Zdrajcy i zbrodniarze ubierali mundury i togi sędziów sprawiedliwości i mordowali wszystkich sanacyjnych, reakcyjnych, imperialistycznych i innych klasowo wrogów, czyli wszystkich tych, którzy działali lub chcieli działać na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego.

W ich pojęciu wszystkich wrogów należało unicestwić, co znaczyło zamordować. Tak więc w majestacie i przez siebie ustanowionego zbrodniczego „prawa”, na oczach całego i prawie przyzwalającego na te zbrodnicze czyny sterroryzowanego społeczeństwa, rozbudowano siatkę szpiclów-donosicieli do niebywałych granic. Działały setki tysięcy donosicieli, których interesowało nawet słuchanie „zza granicy” radia.

Oto jak komuniści potrafili zastraszyć naród na tzw. wolności, nie mówiąc już o tym, co działo się w miejscach „odosobnienia”, gdzie byli panami życia i śmierci, mianując sami siebie „bogami”.

Wracam znów na Klęzkowską, bo odbiegłem od tematu. Tak więc staliśmy ścianą, słuchając wyczytywanych nazwisk. Zostałem wyczytany, zaprowadzono mnie na 3 pawilon, jak

dobrze pamiętam; cela nr 287 lub 278, gdzie stałem długo twarzą do ściany. Zresztą, jak się później okazało, to więźniowie stali nieraz całymi dniami w tej pozycji.

Potem zrewidowano mnie rozbierając do naga i wpuszczono do celi. Oddziałowy był dość „łaskawy”, bo nawet się zbyt nie przyczepiał do czterech małych cebulek, które miałem. Dopiero przy rewidowaniu mnie, kiedy się odwróciłem od ściany, mogłem spojrzeć w dół; kondygnacje pięter oddzielały „pajęczyny” stalowych siatek. Cela była na dwie osoby, ale siedziało w niej 4 więźniów, piątym byłem ja. Jak się później przekonałem, byli to zacni ludzie. Oto ich nazwiska: Józef MIKUTANIEC, piłsudczyk, dziadek miał potężne siwe wąsy i błyszczącą, całkiem tysą głowę, był już staruszką i nie wiem, czy opuścił żywy więzienie na Kłęczkowskiej.

Wacław SEKRECKI, rotmistrz kawalerii, który służył pewien okres w jednostce WP w Hrubieszowie, znał mojego dziadka Stefana LISIECKIEGO.

Tadeusz TUMIDAJSKI, młody wiek, lat 20 może dwadzieścia parę, rodem ze Lwowa, przed aresztowaniem mieszkał we Wrocławiu, ul. Nowowiejska, przesiedział w celi śmierci 7 miesięcy (z wyrokiem kary śmierci).

RACICKI, którego imienia jak i innych danych nie pamiętam.

Jako moje całe dobro miałem cztery małe cebule, które mi dał wspomniany już uprzednio BĄKOWSKI. Jakaż była ogromna radość, kiedy je podzieliłem między moich nowych współtowarzyszy niedoli. Zdarzało się, że ludziom wypadały zęby na skutek skorbutu. Okno umieszczono wysoko, w dodatku jeszcze „zablińdowane”, ale przez uszkodzone blindy można było widzieć dwa mury więzienne, a nawet dach przejeżdżającego tramwaju za drugim murem i szary plac boiska. W dole pod pierwszym murem stała ślusarnia. W lewo, pawilon śmierci, tam na tym skrzydle siedzieli wszyscy skazani na śmierć. Było ich bardzo wielu, bo żądza zabijania ogarnęła jak dżuma „władzę ludową”. Przez okno nie można wyrzeć, ale że było nas dużo w celi, to „judasz” w drzwiach był zawsze przysłoniony, bo przeważnie trwał spacer od drzwi do ściany, gdzie było okno. Od tego spaceru w betonie po środku celi były wydeptane wgłębienia.

W tym czasie kiedy ktoś stał przy drzwiach, jeden drugiego podsadzał do góry i na moment można było widzieć „trochę światła”, ale to trzeba było robić bardzo ostrożnie, bo okna z zewnątrz były obserwowane przez cały czas, a pod każdym oknem był wymalowany dużymi cyframi numer celi. Więc strażnik z zewnątrz natychmiast powiadamiał oddziałowego, że z celi tej a tej ktoś wyrzeć. Wówczas wpadali oprawcy do takiej celi i bili wszystkich, nieraz i niejednego do utraty przytomności. Często zarządzano „alarm”, wtedy trzeba się było kłaść twarzą do betonu i leżeć tak całymi godzinami. W tym czasie zbrodniarze podglądali przez „judasze” i biada temu, kogo złapali z twarzą odwróconą w bok. Podczas takiego „alarmu” często otwierano drzwi celi, ale nie można było nawet widzieć butów wchodzących strażników, bo ręce trzeba było mieć ułożone wokół.

Nocne kipisze: otwierały się z cichym zgrzytem drzwi celi, padał też cichy rozkaz: wyskakiwać, takie s...yny. Część strażników przetrząsała cele, tzn. wysypywała proch i kurz z sienników, co ileś tam lat przedtem stanowiło słomę. Druga część „kipiszowała” więźniów, trzeba było rozebrać się do naga, robić przysiady; było też tak, że wtykał strażnik więźniowi klucz między pośladki, a drugiemu więźniowi kazał otworzyć usta i tymże kluczem mieszał mu w gębie, i tak na zmianę. Ciągłe wzywanie któregoś z więźniów na przesłuchanie. Tzn. kierownicy „spece”, „wuje”, brali kolejno z celi więźniów i trudno było wiedzieć, kto jest „kapo”.

W CELI. Nadeszła wiosna, trawa na boisku zazieleniała, za dwoma murami świat stawał się piękny i właśnie na to boisko zaczęła przychodzić dziewczyna TUMIDJASKIEGO. Właściwie to już była jego żona, bo wzięli ślub, jak TADEK miał wyrok śmierci. Jak wielka musiała być miłość tej dziewczyny. Przysłaniałiśmy „judasza”, a on choć wzrok mógł pocieszyć swoją ukochaną, ale długo to nie trwało. Strażnicy musieli zwrócić uwagę i na dziewczynę i na naszą celę. Wpadli zbiry, zabrali mnie z celi, wszczęto śledztwo, przesłuchiowano mnie na okoliczność utrzymywania kontaktów ze „ŚWIATEM ZEWNĘTRZNYM”. Nie wiem, co się stało z moimi współwięźniami, bo już ich nigdy nie widziałem; zostałem dotkliwie pobity, bo nie przyznałem się do żadnej „winy”.

Wsadzono mnie do celi, gdzie było na betonie wapno, oddziałowy kazał przynieść „kalifaktorowi” (więzień zatrudniony przy sprzątanii lub roznoszeniu posiłków) wiadro wody i wlać na to wapno, następnie kazał mi wymyć beton, posadzkę celi. Rozpuszczone wapno zżarło mi ręce do krwi, w rezultacie czego zaniechałem dalszego mycia. Rozwścieczony moim nieposłuszeństwem oddziałowy wołał mnie na korytarz i sprawił mi lanie, a wieczorem znów wlało mi wiadro wody. Nie pamiętam, jak długo siedziałem w tej celi, ale chyba dość długo, bo ręce mi się wygoiły, a woda wyschła po kilku dniach. Z tej pojedynki przeniesiono mnie do celi, w której było czterech więźniów, siedział tam też Marian SYPUŁA, były więzień Oświęcimia.

M. SYPUŁA pochodził z Częstochowy i chyba mieszkał na Jasnogórskiej. W tym czasie ww. zajmował się rozprowadzaniem i sprzedażą dewocjonalistów z Jasnej Góry, co „godziło” również w interes władzy ludowej. W tym czasie (tzn. przed aresztowaniem) będąc na Dolnym Śląsku wraz ze swoim szwagrem, napotkał „KAPO” z Oświęcimia. Chcieli tegoż „kapo” doprowadzić do MO, a że ten stawiał zaciekły opór, musieli go trochę poturbować. Jak się okazało później, ten oświęcimski „kapo” w tym czasie był już wysoce partyjnym budowniczym i utrwalaczem „władzy ludowej”. I za to ich posadzono. W celi tej było jeszcze dwóch młodych skazańców, których nazwisk nie pamiętam, natomiast czwartego pamiętam bardzo dobrze i nigdy tego drania nie zapomnę. Nazywał się Norbert GIERZON, kanalia w sile wieku, znęcał się nad słabszymi więźniami, m. in. i nade mną. Miarka się przebrała i więzień oświęcimiak, M. SYPUŁA przyłał kanalii N. GIERZONOWI po mordzie. Wtedy Gierszon „wyrzucił klapę” i zaczął tłuc w drzwi. Zjawili się „opiekunowie”. SYPUŁA pokazał im swój oświęcimski numer na

przedramieniu i powiedział, że miał dość takich typów w Oświęcimiu, że zna się na ludziach i prosi o zabranie tego „ciemnego typu” z celi. Stało się jednak inaczej, z celi zabrano SYPUŁĘ, a na jego miejsce dokoptowano podobnego typu do GIERSZONA. Kanalia Gierszon mianował nowo przybitego swoim zastępcą, bo sam był „celowym”. Obydwaj znęcali się nad nami, za co oddziałowi kazali im dawać większe porcje chleba, oczywiście kosztem naszych uszczuplonych porcji. Potem znów były przerzutki; pamiętam więźniów, którzy już nie mogli chodzić o własnych siłach. Ogolone, wyschnięte głowy na cienkich, chudych, wydawałoby się wydłużonych szyjkach, głęboko w czaszce zapadnięte oczy, OCZY, KTÓRE BŁYSZCZAŁY NADZIEJĄ I WIDAĆ W NICH BYŁO BLASK WOLNOŚCI. Najbardziej były bolesne i pełne goryczy chwile, kiedy się słyszało pożegnalny krzyk prowadzonych braci na śmierć, a zdarzało się to rano, jeszcze przed pobudką.

Było słyszeć krzyk, bieganie, szamotanie i dławiony krzyk zamierał w gardle. To umierały najlepsze dzieci Ojczyzny. Na lewym skrzydle trzeciego pawilonu przez całą noc świeciły się światła w celach, tam wszyscy skazani byli na śmierć za to, że byli Polakami, za to, że ich matki Polki od kolebki nauczały ich pacierza i bezgranicznej miłości dla swojej Ojczyzny, za to, że przechowywali jak największy skarb pamiątkę po ojcu lub dziadku, symbol wolnej Polski, orła z koroną – oto jaka była ich największa wina.

W tym czasie jak ja tam przebywałem, to morderstw dokonywano w piwnicy ślusarni i w tym czasie chyba już księdza Jana SKIBY przy egzekucjach nie było. Jak słyszałem z opowiadań, więźniów skazanych na śmierć, który desperacko bronili się i nie dali sobie zarzucić koca na głowę przed wyprowadzeniem na egzekucję, rozstrzeliwano w celi. A czy wszystkich rozstrzelano? Słyszałem również, że też skazanych przez „wojskowe sądy” wieszano, a nawet ścinano. Widziałem przy murze więzienia szubienicę z zapadającą się klapą. Tam każda sekunda był minutą, każda minuta godziną, godzina dniem, dzień miesiącem, miesiąc latami. Tym, co byli skazani na śmierć, życie umykało jak rzeka w wodospad i do końca, prawie do końca, mieli nadzieję, że przyjdzie ocalenie, ale nic się nie stało, nic się nie wydarzyło, wszystko było po stronie morderców i takich samozwańczych „bogów” jak te „oficer”, który „przyjął nasz transport”. Jak się później dowiedziałem, nazywał się Piegza, a takich Piegzów było co nie miara. Jednak w porównaniu do całego narodu morderców tych była mała część, a jednak pod skrzydłami Kremla mordowali i zabijali bezkarnie i po dzień dzisiejszy nie ponoszą żadnej kary, a wręcz przeciwnie – za swoje „zasługi” dostają wysokie renty, emerytury i inne dodatki. Rozzuchwaleni bezkarnością i tym, że są „odgrodeni grubą krechą” nietykalności, tworzą mariaż z różnego rodzaju gangami złodziejskimi, które działają w każdym miejscu w kraju i „biznesują”, czyli sobie przywłaszczają i grabią to, co jeszcze pozostało, zresztą te sprawy jak grabież czy rabunek nigdy nie były im obce, od zarania swojego istnienia ich władza polegała, na przywłaszczaniu cudzego mienia. Kiedy objęli władzę w 45 r., grabili wszystko i wszystkich, rabowali dorobek całych pokoleń, zabierali nawet małe nadrzeczne młyny, przeważnie tylko po

to, by je zniszczyć, przecież była to niejednokrotnie ludzka krwawica. Dziś posiadają majątki i dobra, na które nigdy nie pracowali, bo wielu z nich swoją „działalnością” przez całe swoje życie nie zarobiło na kilogram chleba, nie mówiąc już o tym, że kładło na łopatki wszystko co polskie.

W sierpniu po siedmiu latach byłem w kraju i obserwowałem, co się tam dzieje, dawna nomenklatura „miesza” wszędzie. Na rozkaz, na zawołanie, zmienili swoje przekonania polityczne i dalej siedzą wszędzie, dalej rabują banki i to legalnie w majestacie „prawa”, bez użycia masek i broni. Przy pomocy zagranicznych kanciarzy i wszelkiej maści oszustów, którzy mianują się doradcami, wprowadzają w życie „plany” byłych kacyków komunistycznych i planowo, systematycznie, ale w zadziwiająco szybkim tempie rujnują wszystko, co jeszcze da się zrujnować. Komuniści ponad 45 lat „szturmowali” rolnictwo indywidualne, jednak bez skutku. Chłop polski był zaporą, której nie dało się zniszczyć żadnymi środkami. Było tak, że zamykano go do więzienia za jeden kilogram zboża, które „zalegał” ludowemu robotniczo-chłopskiemu państwu w obowiązkowych dostawach. Odsiadywał wydany na niego wyrok w imieniu tegoż ludowego państwa, wracał do domu i z jeszcze większą zaciętością chłopską chwycił za czapigi pługa. Teraz, kiedy już od dawna nie ma obowiązkowych dostaw, kiedy rolnictwo się podciągnęło, a jego produkcja znacznie wzrosła, wieś nasza nie może sprzedać swoich produktów, a jak może sprzedać, to po bardzo niskich, wprost śmiesznych cenach. (...)

Artykuły spożywcze sprowadza się z zachodu, bo to wynosi taniej, wydając zapożyczone również dewizy, które już do nas nigdy nie wrócą. Czy nie lepiej kupić w kraju od własnego producenta, płacąc mu nawet więcej, ale tym samym budować nasze rodzime rolnictwo, a nie całkowicie rujnować, w dodatku pozbywając się pożyczonej na zachodzie waluty. W tym wszystkim tkwi „stara gwardia”. Różnego rodzaju szubrawcy, bandycie i ciemiężyciele naszego narodu, ci, którzy jeszcze nie tak dawno nawet z ekranów telewizyjnych potrafili pluć ludziom w twarz, dziś stali się autorami „dzieł”. Rozwydrzeni swoją bezkarnością, którą im zapewniono przy „okrągłym stole” w Magdalence, mają tupet i śmiało bezczelnie wydawać swoje brukowce, w których niejednokrotnie przedstawiają się jako zbawiciele narodu. Wiedzą dobrze, że tam, gdzie jest bieda, można zarobić na wszystkim. Wszelkie dobra, których „dorobili” się grabiąc nasz kraj totalitarni legaci komunistyczni i ich zauszniczy, powinny być zwrócone RP, a ww. winni być za swoje zbrodnie odpowiednio ukarani (odpowiednio do swoich czynów).

Seweryn Skraban

6 czerwca 1992

Silver Spring, MD, USA